№ 18.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 21 Kwietnia / 3 Maja 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11 1/4, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33 3/4). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.

KANDYA I KANDYOCI.

Historya Kandyi, która niezbyt dawno temu była widownią długiéj i bohaterskiéj walki, pełnéj krwawych epizodów, zaczyna się razem ze switem dziejów.

Dzisiejsza wyspa Kandya nosiła w starożytnosci nazwisko Krety. Leży ona na morzu Śródziemném, przy wejściu do Archipelagu, zwanego niegdys morzem Egejskiém, na południo-wschod od Anatolii, a na południo-zachód od Morei, pod 35° szerokosci połnocnéj. Podania starożytne mowią, że miała niegdyś sto miast, z których najgłówniejszemi były: Knossa, dzisiejsza Ginossa, Cydon, dzisiejsza Kanea i Gortyna. Mieszkańcom jéj, którymi oprócz krajowców byli w znacznéj części przybysze, Fenicyanie i Grecy, Homer przyznaje sławę zręcznych łuczników.

Przed wojną trojańską jeszcze, Kreta słynęła już jako potęga morska. Rząd miała pierwotnie monarchiczny, z krolow zaś jéj najtrwaléj imię swoje przekazali dziejom Minos i Idomeneusz. Pierwszy z nich nadał Kreteńczykom nadzwyczaj mądre prawa, które miały Likurgowi, prawodawcy Spartan, posłużyc za wzór do jego ustaw.

Według niektórych dziejopisarzów, Minosow miało byc dwoch, pierwszy panował za czasów Mojżesza, około 1500 r. przed Chr., drugi zas około 1330 r. przed naszą erą.

Wnuk Minosa II, Idomeneusz, żył za czasów oblężenia Troi, w którem brał udział i zaszczytnie się odznaczył. Powracając do Krety po wojnie Trojanskiéj, zaskoczony burzą na morzu, uczynił ślub, że pierwszego kogo spotka za przybyciem do swego państwa złoży w ofierze Neptunowi. Los mieć chciał że pierwszym spotkanym był jego syn własny. Idomenéj dopełnił uczynionego ślubu i zabił go, czyn ten jednak uczynił go tak nienawistnym ludowi, że sam skazał się na dobrowolne wygnanie, na którém umarł w późnéj starości.



Kandyotka.

W epoce, któréj dokładnie oznaczyć niepodobna, Kreta z monarchii stała się rzeczpospolitą, rządzoną przez senat i decemwirów, wybieranych corocznie. Rzeczpospolita Kreteńska nie odegrała wybitnéj roli w dziejach greckich.

W r. 66 przed Chr., Rzymianie chcąc ukarać Kretę za danie przytułku korsarzom cylicyjskim, naszli ją pod dowództwem Kuinqusa Metellusa i podbili. Metellus przybrał po tém zwycięztwie przydomek *Creticus*.

Po podzieleniu Cesarstwa Rzymskiego na zachodnie i wschodnie, Kreta należała do wschodniego cesarstwa aż do r. 823. W tym czasie została podbitą przez Arabów, którzy założyli tutaj miasto obronne i nazwali je Kandah, od wyrazu arabskiego znaczącego okop, szaniec. To było powodem zmiany starożytnego nazwiska Krety na dzisiejsze.

W sto kilkadziesiąt lat po tym podboju, Kandya powróciła znowu pod panowanie cesarzów byzantyjskich. Nicefor Focas, naczelny wódz wojsk greckich, który w dwa lata poźniéj ogłosił się cesarzem, odbił ją niewiernym w 961 r.

Tym razem wyspa pozostała w posiadaniu cesarzów wschodnich, aż do zdobycia Konstantynopola przez Krzyżowców i założenia cesarstwa łacinskiego. Baldwin I. w r. 1204 darował ją margrabiemu Montferrat, który odprzedał ją rzeczypospolitéj Weneckiej, za dziesięć tysięcy mark srebra. Wenecyanie wprowadzili tu swoje prawa, swych kolonistów, swoj przemysł, nie zdołali przeciez stanowczo przywiązać do siebie Kandyotów, którzy powielekroć porywali się bezskutecznie, chcąc sobie wywalczyc niepodległość.

Po zdobyciu Konstantynopola przez Turków w r. 1453, potęga ich wzrastała szybko i Wenecya niedługo mogła zostać panią swoich zdobyczy na Archipelagu. Turcy zdobyli wyspę Rodos, przełamali i pomścili w barbarzyński sposób bohatertki opór Cypru, poczém przyszła koléj na Kandyą. Było to w połowie XVII wieku. Nikt w Europie nie myślał dopomódz Wenecyi w obronie tego ważnego stanowiska, podczas dwudziesto cztero letniéj wojny (1645—1669); Francya jedna posłała na wyspę zbyt póżno i niedość silny korpus księcia de Beaufort, złożony z 7 do 8000 ludzi. Sam dowódca i znaczna część uczestników téj wyprawy zginęli pod murami Kandyi i starożytna Kreta przeszła pod panowanie Tureckie.

Od téj chwili na wyspie były tylko dwie klassy ludności: panowie i niewolnicy, zwycięzcy i zwyciężeni. Ludność, wynosząca przed podbojem około 900,000, zmniejszyła się tak, że w początku

zeszłego wieku liczyła zaledwie pół milijona. Ziemię podzielono pomiędzy bejów, którzy stali się tu samowolnymi panami. Wszystkie możliwe źródła dochodów sprzedano lub wydzierżawiono muzułmanom, pozostawiając mieszkańców łupem ich nienasyconéj chciwości.

W takim stanie znajdowała się Kandya na początku bieżącego stulecia. Żadna z chrześcijańskich prowincyj podbitych przez Turków, nie wycierpiała może tyle, z powodu ich tyranii, fanatyzmu i chciwości, nigdzie ich podejrzliwa zawiść, nietolerancya i okrucieństwo nie pastwiły się nad ofiarą z większém barbarzyństwem, nigdzie też zapewne rządy tureckie nie wywołały większéj przeciwko sobie nienawiści jak tutaj. To też gdy powstanie Morei nastręczyło im sposobność, Kandyoci nie omieszkali z niéj skorzystać i w Maju 1821 roku, wystąpili do walki z Turkami.

Początek temu powstaniu dał najdzielniejszy ze wszystkich szczep sfakijotów; wkrótce przecież cała chrześcijańska ludność Kandyi wzięła w niém udział.

Walka trwała przez dziesięć lat, pomimo nierówności sił, pomimo że punkta obronne pozostały w ręku Turków, pomimo nieporozumień wewnętrznych i intryg z zewnątrz, osłabiających zapaśników, którzy obwarowani w nieprzystępnych pozycyach, dawali co chwila nowe i szczytne przykłady heroizmu, wytrwałości i poświęcenia.

Wszystko to przecież nie miało wpłynąć na poprawę losów Kandyi. Protokułem londyńskim z d. 3 lutego 1830 r. wyspa ta wyłączoną została z liczby prowincyj mających wejść w skład tworzącego się królestwa Greckiego.

Pomimo tego postanowienia, Kandyoci nie myśleli na razie o poddaniu się losowi, jaki im przygotowano. Gdy poseł rządu tymczasowego greckiego Renieri, przyniósł im wiadomość o zapadłéj decyzyi, mocą któréj Kandya ustąpioną została wice-królowi Egiptu, jako wynagrodzenie ofiar i strat poniesionych przez niego podczas wojny, Kandyoci zebrali się na radę ogólną we wsi Margaritas i postanowili oprzeć się z bronią w ręku temu wyrokowi. Sama jednak energija i gotowość do ofiar, tych co powzięli to postanowienie, nie była dostateczną do poruszenia mass upadłych już na duchu, zdziesiątkowanych, zubożonych i wycieńczonych, a przejętych zwątpieniem w obec stanowczéj woli Europy. W takim stanie rzeczy, Grabusa, jedyne miejsce obronne, które aż do końca pozostało w ręku Kandyotów, oddaną została we wrześniu admirałom trzech opiekuńczych mocarstw: Anglii, Francyi i Rossyi. Pełnomocnik téj ostatniéj objął ją tymczasowo i w d. 22 stycznia 1831 r. oddał nanowo w ręce tureckie.

Nim do tego przyszło, mnóstwo Kandyotów opuszczało wyspę, przenosząc się do nowo-utworzonego królestwa, a w d. 23 listopada 1830 r. zebrała się po raz ostatni komisya rządu tymczasowego wyspy Kandyi, w celu zredagowania energicznéj protestacyi, przesłanéj trzem mocarstwom opiekuńczym.

Zostawszy panem wyspy, wice-król Egiptu, zarząd jéj powierzył jednemu ze swych najinteligentniejszych oficerów, Mustafie-Bejowi, który już przedtém kilka lat służył na wyspie. Jest to ten sam Mustafa-Pasza, którego w czerwcu 1866 r., Porta wysłała na Kandyą, w celu przytłumienia powstania, i który z powodu długiego na téj wyspie pobytu przybrał przydomek *Kiritli* (Kreteńczyk).

Pierwszém staraniem nowo-mianowanego wielkorządcy było wprowadzenie w czyn zamiarów wice-króla, dążących do uspokojenia i podniesienia dobrobytu wyspy. I rzeczywiście, rządy Mustafy-Paszy, w porównaniu z rządami satrapów, którzy tu do r. 1821 gospodarowali, okazują stosunkowo znakomity postęp.

Pod wpływem téj przemiany, jeżeli nie na bezwzględnie dobre, to przynajmniéj widocznie na lepsze, rolnicy mogli się nanowo zająć uprawą ziemi, wartość gruntów wzrosła, produkta zaczęły znajdować większy odbyt, handel się ożywił i po wielu latach walki zaczęła Kandya używać dobrodziejstw pokoju.

Na tém jednakże ograniczyły się wszystkie korzyści zarządu Mustafy-Paszy, który do roku 1840 rządził Kandyą w imieniu wice-króla Egiptu, a następnie do r. 1852 znowu w imieniu sułtana, któremu wice-król napowrót Kandyą odstąpił.

Już za czasów Mustafy miały miejsce dwa powstania Kandyotów przeciwko Turkom. Pierwsze wybuchło zaraz w r. 1833, wywołane odrzuceniem przez Portę pewnych żądań, jakie Kandyoci za pośrednictwem wielkich mocarstw do Konstantynopola zanieśli i sprowadziło wiele krwawych egzekucyj. Następne w r. 1841 zostało łatwo stłumione. Początek mu dali Kandyoci, którzy przenieśli się do Grecyi. Ajenci angielscy publicznie prawie je zachęcali, przyrzekając Kandyi taki sam, jak miała wyspa Samos, zarząd autonomiczny, pod zwierzchnią władzą Turcyi. *(d. c. n.)*

ZAKONNICA.

Błoń szeroka—na błoni mgła biała,
We mgle jasność księżycowa drżała—
I błoń była jak jezioro śpiące,
Ciemne drzewa, jak chaty milczące,
A ja szedłem cichy po téj błoni,
I myślałem jako zawsze—o niéj.

I przy jakimś stanąłem klasztorze,
A za kratą w zakonnym ubiorze,
Z cichym bólem na pobladłém czole,
Stała ona, jak w zaklętém kole,
W srebne blaski ubrana księżyca,
A łzy skargą wyszły na jéj lica.

Wzniosła rękę, jak skrzydło anioła,
I kreśliła krzyż w stronę kościoła,
Przebaczając komuś... a w kościele
Ksiądz ślub dawał—gości było wiele,
W pośród gości para młoda stała,
A pan młody!... ona go kochała.

M. Bałucki.

STENOGRAFIJA.

(Dokończenie).

Kto się chce nauczyć na pamięć stenograficznego abecadła, musi je sobie pisać w takim porządku z jakie sto razy, dopóki bez patrzenia na wzór nie napisze. Pisząc każdą literę, trzeba wymawiać, ażeby wbiła się w pamięć.

Nauczywszy się abecadła, umie się już pisać stenograficznie, potrzeba tylko wprawy i pamiętania na niektóre prawidła, a mianowicie:

Pisząc wyrazy stenograficznie, niekoniecznie trzeba posuwać się z pismem coraz daléj; można się cofać, jak w powyższym przykładzie (fig. 6) od *n* do *o* albo od *y* do *z* ku lewéj ręce; pamiętać jednak trzeba, żeby figura którą kreślimy nie zamazała się zabardzo, i żeby koniec każdego wyrazu nie znajdował się ani bezpośrednio nad początkiem, ani też bliżéj lewéj ręki niż początek. Tak np. wyraz *tu* pisze się wprost od góry do dołu, a gdybyśmy chcieli napisać *ut*, musielibyśmy zrobić kreskę od miejsca *u* nie do góry, lecz do miejsca *t* w następnéj kratce, bo inaczéj czytałoby się *tu*. Każdy bowiem wyraz czyta się od tego końca, który jest bliżéj lewéj ręki położony, a jeżeli oba końce są w jednéj odległości, jak w wyrazie *tu*, to od tego który jest wyżéj.

Chcąc stenografować jakimkolwiek językiem litery akcentowane, oznacza się je kółkami w tych miejscach, gdzieby się znajdowały gdyby były bez akcentów. Wiemy więc jak napisać niemieckie *ü*, francuzkie *á* i t. p.

Znaki pisarskie piszą się na głównéj linii, mieszczącéj głoski *p*, *o*, *e*, *r*, *j*, i t. p. i są takie same jak w zwykłém piśmie, z wyjątkiem kropki i przecinka. Zamiast kropki daje się maleńki +, zamiast przecinka maleńki ×. Liczby piszą się arabskiemi cyframi.

Chcąc się wprawić w stenografiją, należy przedewszystkiem pisać powoli i bardzo starannie. *Kto się odrazu spieszy, nigdy dobrze nie będzie stenografował*, tak jak kto od razu pismem zwyczajném chce pisać prędko, nigdy dobrze nie będzie pisał. Dobrze jest nawet wziąć papier kratkowany w daleko większe kratki i wprawiać się na początku w grubą stenografiją, tak jak się wprawia w grubą kaligrafiją.

Doszedłszy tym sposobem do biegłości, można się dopiero wziąć do skróceń. I w stenografii bowiem muszą być skrócenia, inaczéj, nawet najdoskonalsza, nie byłaby w stanie wydążyć szybkości mowy ludzkiéj.

Inne systemy stenograficzne mają skrócenia których uczyć się trzeba oddzielnie i które stanowią główną trudność nauki. Trzeba się uczyć na pamięć i wprawiać w użyciu 80 do 100 umówionych znaków, na oznaczenie najczęściéj używanych wyrazów. W naszym

systemie nie mamy *ani jednego* podobnego znaku. Skrócenia w stenografii powszechnéj są takie tylko jak w zwyczajném piśmie.

Główną ich zasadą jest zachowywanie tylko szkieletu wyrazu. Otóż w wyrazie, kośćmi, szkieletem są spółgłoski. Mając je, można się łatwo domyśléć spółgłosek, np. w wyrazie *krtń*, każdy się domyśli *a*, w wyrazie *słp* każdy odganie *u*.

Niektóre ze spółgłosek także bez trudności pominęte być mogą, a że w stenografii litera akcentowana pisze się równie łatwo jak bez akcentu, więc zamiast *nie*, pisze się *ńe* i t. p.

Tym sposobem zamiast *pierwszeństwo* napiszemy *przeństwo*, zamiast *nieście*, *ńść*, zamiast *jesteś—jsts* i nie będziemy mieli trudności w odczytaniu.

Daléj sam sens jest w wielu miejscach wskazówką wyrazu, i byle wiedzieć pierwsze litery można się łatwo następnych domyśléć. Zamiast więc pisać: *państwo nam przypomnieliscie tę sprawę*, piszemy: *pństw nm przpomń t spwę.*

Są głoski pojedyncze, które same przez się nie mogą stanowić wyrazu np. *n*, *ń*; głoski takie oddzielnie napisane, oznaczają w stenografii najkrótsze i najpowszechniéj używane wyrazy, które się od nich zaczynają np. *na*, *nie*, *do*, *bo* i t. p.

W języku polskim nie ma głoski *r*, można więc *w* oznaczać kropką, a kółeczkiem w tém miejscu oznaczać *w'*. Podobnież, kółeczko w punkcie przeznaczonym na *r* może oznaczać *rz*, zaś zamiast *ch*, można pisać *h*.

Kółeczka w pisaniu niekoniecznie potrzebują być dokładne, a przy pisaniu atramentem nic nie szkodzi, że się zaleją i zamienią w punkt grubszy.

W niektórych językach używają się apostrofy, np. we francuzkim. Apostrofy takie przy literze *j* pomijają się i litera ta stanowi oddzielny wyraz, co już samo dostatecznie wskazuje, że apostrofowaną być musi. Inne litery, jak *m*, *t*, *s*, *d*, gdy mają przy sobie apostrof, łączą się z następnym wyrazem, lecz zamiast kropką, oznaczają się kółkiem.

Po miesięczném przynajmniéj (po parę godzin codzień) wprawianiu się w używanie tych skróceń, można przystąpić do ćwiczenia się w spisywanie mowy ustnéj,—najlepiéj, każąc sobie dyktować ustępy z książek.

Jako wzór pisma stenograficznego podajemy tutaj czterowiersz Jana Kochanowskiego, bez skróceń (fig. 7) i tenże czterowiersz ze skróceniami (fig. 8), i spodziewamy się, że go każdy czytelnik przy pomocy powyższego wykładu bez wielkiego mozołu odczytać zdoła.

Ktoby według podanéj tutaj metody chciał się nauczyć stenografii, a miał w ciągu nauki jakie wątpliwości, gotowiśmy mu służyć listowném objaśnieniem. Zapytanie jednak winno być stenografowane, na dowód, że żądający objaśnień uczy się tego systemu. I odpowiedź będzie stenograficzna, na inną bowiem nie starczyłoby nam czasu.

Listy nadsyłać należy do Redakcyi *Opiekuna*, lub wprost do podpisanego (Kraków, Podwale Nr. 82) w języku polskim, francuzkim lub niemieckim, i w takim też będzie odpowiedź.

Władysław Sabowski. (*Wołody Skiba*).

BELLADONNA.

(POKRZYK — SZALÉJ — BLEKOT).

W ciemnych, ciernistych miejscach, szczególniéj górskich lasów, rośnie dziko, wspaniale, lecz zaprawdę niemile piękna roślina trująca: Belladonna. Przepysznie ukształtowana we wszystkich swoich częściach, w liściach, kwiatach i bardzo ponętnych jagodach, przejmuje jednak mimowolnym przestrachem, nawet nieświadomego jéj własności, i tylko ktoś nierozważny lub lekkomyślny może się do niéj zbliżyć nieostrożnie.

Cała roślina, liście, kwiaty, głównie jednak korzenie i jagody, zawierają w sobie straszną, w męczarniach zabijającą truciznę. Sławny botanik francuzki Tournefort (zmarły w r. 1708) dał jéj z tego powodu przydomek *furiosa*, a Linneusz nazywa ją nawet *Atropa belladonna*, od owéj Atropos, jednéj z trzech Park, cór Nocy, która według mitologii przecinała nić życia ludzkiego. Na oba te nazwiska belladonna najzupełniéj zasługuje, z powodu wpływu jaki jéj działanie wywiera na organizm ludzki.

Mała nawet ilość trującéj substancyi zawartéj w belladonnie działa narkotycznie i trująco. Odurzenie sprawione przez nią nie jest samo przez się nieprzyjemném. Towarzyszą mu dziwne widziadła i marzenia, tak jak po zażyciu wielu innych narkotycznych (odurzających) substancyj. Po zażyciu większéj ilości, wpływ trucizny jest okropny, rozmaity jednak, stosownie do konstytucyi zażywającego. Spazmatyczny śmiech, lub niemniéj okropny płacz spazmatyczny godzinami wstrząsa ciałem, poczem następuje albo niepojęta, bajeczna gadatliwość, albo zupełna utrata głosu. Johnston opowiada o pewnym krawcu, którego stan po zażyciu belladonny podobny był zupełnie do stanu lunatyka: „Był on zupełnie nieczułym na wszystkie zewnętrzne wrażenia. Siedział bez głosu, z zamkniętemi oczyma, nie bez ruchu jednakże, gdyż poruszał rękami, jakby z największą pilnością zajmował się swą zwykłą pracą, przy czém bezustannie ruszał ustami, jakby najżywszą prowadził rozmowę. Stan taki trwał przez piętnaście godzin.“

Zadziwiającą własnością jadu belladony jest wpływ jéj na źrenicę oka ludzkiego. Rozszerzają się one po zażyciu trucizny tak dalece, że trafia się iż odurzony widzi przedmioty podwójne lub przewrócone do góry nogami. Z tego powodu lekarze używają rozczynu belladonny z nadzwyczajnym skutkiem do rozszerzenia źrenicy, przy zdejmowaniu katarakty i innych chorobach ocznych. Oprócz tego belladonna ma jeszcze bardzo obszerne zastosowanie w medycynie. Właśnie z powodu jéj gwałtownego i odurzającego działania medycyna wymaga od niéj niemałych usług i stosuje ją jako nader silne lekarstwo. W aptekach robią proszki, wyciągi, rozczyny i t. d. z liści jéj i korzeni, a tak przyrządzone środki, doktorzy przepisują szczególniéj przeciw przypadłościom kurczowym, a nawet przeciw padaczce i obłąkaniu.

Jad belladonny najdokładniéj się przechowuje w wyrabianéj z téj rośliny truciznie *atropinie*, należącéj do wielkiéj liczby alkalojdów roślinnych, będących z jednéj strony najszacowniejszemi i najskuteczniejszemi lekarstwami, z drugiéj, najstraszliwszemi truciznami roślinnemi. Z téj liczby wymienimy tylko chininę, morfinę, strychninę, nikotynę i koniinę. Atropina jest najmniéj użyteczną ze wszystkich takich alkalojdów roślinnych. Farmakopeja (nauka robienia lekarstw) pruska i wielu innych krajów nie zalicza jéj nawet do środków lekarskich, lekarze bowiem wolą używać korzenia belladonny lub jéj liści niż utworzonego z nich alkalojdu.

W historyi, a raczéj w podaniach historycznych, belladonna odegrała ważną rolę. Sweno, król Norwegii, na czele swoich i duńczyków napadł na Szkocyą, pokonał i podbił jéj mieszkańców. Szkoci musieli przygotowywać jadło i napoje dla okrutnych zwycięzców i do napojów domięszali soku z jagód belladonny. Gdy po wypiciu tak przyprawionego trunku, król i przybyli z nim wojownicy leżeli odurzeni, chytrzy Szkoci wpadli na nich i sprawili tak straszną rzeź, że tylko mała liczba szczęśliwszych, unosząc odurzonego króla, zdołała się dostać na jeden okręt i uciec napowrót do Norwegii.

Z powodu smutnych wypadków otrucia, jakich belladonna niejednokrotnie bywała powodem, a które i teraz zdarzają się, zwłaszcza dzieciom i nieświadomym, lud prawie wszędzie ponadawał malujące jéj własności nazwiska: U nas nazywają belladonnę *szalejem*, niemcy zowią ją *Tollkrant*, a jéj jagody *Todlbeeren* albo *Tollkirschen.*

Belladonna należy do rodziny roślin rosnących w cieniu (solanum), w któréj dziwnym zbiegiem rzeczy mieszczą się obok siebie najstraszliwsze trucizny, najdzielniejsze lekarstwa, źródła najbardziéj upowszechnionéj, choć tylko nałogowéj i imaginacyjnéj przyjemności i najpożyteczniejszy, niczém zastąpić się nie dający, pokarm. Pokrzyk, blekot, bieluń, szaleń jadowity, tytuń i kartofle, są najważniejszymi reprezentantami téj rodziny.

Zkąd poszło nazwisko belladonny, znaczące, jak wiadomo, piękną dziewicę? Karol Russ, pisarz niemiecki, z którego wyjmujemy ten artykuł, powiada, że długo badał co mogło dać powód do nazwania téj okropnéj rośliny piękną kobietą, i długo nie mógł dojść do rozwiązania téj zagadki. Nareszcie dowiedział się, że włoszki soku z balladonny używają jako bielidła upiękniającego twarz. Dziwna tajemnica! niejedna z najpiękniejszych kobiet Włoch, o których nam mówi historya, jakby w skutek używania takiego kosmetyku, ma prawdziwie demoniczny charakter opisanéj przez nas rośliny!

Wł. S.

WYCIECZKA W GŁĄB SERBJI,

1869 roku.

przez

WŁADYSŁAWA KOZŁOWSKIEGO.

(*Dokończenie*).

Od Rajkowéj droga zaczyna znowu piąć się pod górę, mniéj wprawdzie stromą i wysoką od téj, którąśmy przebyli pod Milanowcem, zawsze przecież o tyle wysoką, że konie muszą się znużyć a ludzie znudzić, nim się dostaną na jéj wierzchołek.

Gdyśmy się wygramolili nareszcie na wierzch góry i przystanęli, ażeby dać chwilę wytchnienia zmęczonym koniom, furman mój, który tylko w stanowczych momentach podróży zabierał głos z własnéj inicyatywy, oświadcza mi, że za godzin dwie będziemy w Majdan-Peku.

Wiadomość ta ucieszyła mnie niemiernie, bo szanowny mój *koczyjasza* większą okazywał skłonność do rozmawiania z końmi, jak ze mną — człowiekiem. Na wszystkie me zapytania, mające na celu wciągnięcie go do rozmowy, odpowiadał monosylabowo: *jest* (tak), *nije* (nie), albo po prostu *ne znam* (nie wiem), — jak gdyby kierował się tém rozumowaniem, dość zresztą słusznėm, ze stanowiska ekonomii politycznéj, że płacę mu za to tylko, aby mię dowiózł do wskazanego mu miejsca, a bynajmniéj nie płacę za to, by się miał fatygować dla mnie wydobywaniem z płuc powietrza, a oraz otwieraniem i zamykaniem miarowém ust dla wydania głosu, co wszystko, będąc mechaniczną pracą, osobnego wymaga wynagrodzenia.

Ujechawszy dość spory kawał drogi, po prawéj stronie, tuż przy saméj drodze, spostrzegam krzyż stojący, świeżéj, jak ze wszystkiego można było wnosić, daty. Krzyż w tak odludném miejscu i w Serbii, gdzie nie ma zwyczaju stawiania krzyżów przy drogach, nie mógł nie zwrócić na siebie méj uwagi. Zapytuję więc furmana coby krzyż ten miał znaczyć w tém miejscu.

Z udzielonéj mi w lapidarnym stylu odpowiedzi, dowiedziałem się, że pod tym krzyżem pochowanym został aresztant, zabity przez eskortującego żandarma, na którego był się rzucił, w zamiarze rozbrojenia go i ułatwienia sobie ucieczki. Co był za aresztant? dowiedziałem się późniéj dopiero. Był nim *Vuić*, syn sławnego z czasów Milosza, Vuicia. Za udział w spisku przeciwko zamordowanemu księciu, skazany na dwa lata do ciężkich robót, odsiadywał swą karę w *Pożarewcu*. W końcu przeszłego roku nakazano go przewieść, nie wiadomo dla czego, do *Negotyna*, a jak inni mówią, do *Milanowca*. Z téj okoliczności jak powiadają jedni, *Vuić* chciał skorzystać by uciec, a jak powiadają drudzy, kto inny chciał skorzystać by się go pozbyć—i został zabity... Prawdy o całym tym wypadku bardzo trudno dowiedzieć się, pomnąc na to, że stronnicze namiętności, rozdzierające naród serbski na wrogie sobie partyje, nie pozwalają nietylko bezstronnie sądzić o rzeczach, ale nawet uszanować prawdy o tyle, by jéj nie wyrwać na nice tendencyjnie.

Ze smutkiem wyznać potrzeba, że jak się rzecz ma z owym wypadkiem, tak samo ma się rzecz i z całą nowożytną historyą Serbii. W opowiadaniach o wypadkach z ostatniego pięćdziesięciolecia, namiętności stronnicze tak ważną grają rolę, że wśród zamętu krzyżujących się z sobą oskarżeń i pochwał, zwróconych ku jednym i tym samym osobistościom, wśród sprzecznych, lub tylko różniących się w szczegółach opowiadań o ważniejszych wypadkach, niezmiernie trudno dojść do prawdy i do wyrobienia zdrowego sądu o rzeczach i ludziach. Jakoż, każdemu ktoby pragnął poznać dzieje odbudowania Serbii, radziłbym nie zapominać ani na jednę chwilę o téj okoliczności i do pracy przystępować z całą ostrożnością. Ostrożność ta tém jest potrzebniejszą, że nawet dzieła przez cudzoziemców pisane, nie są wolne od stronniczego przedstawienia rzeczy, za wyjątkiem chyba jednego *Ranke'go*. I tak, kiedy *Cyprjan Robert*, który zwiedzał Serbiją za Karadziordziewicia, po wypędzeniu Milosza, przedstawia nam tego ostatniego jako tyrana bez czci i sumienia, lekceważącego sobie życie, honor i mienie swych poddanych, to znowu *Cunibert*, będący lekarzem Milosza, pisze w swéj historji panegiryk, usiłujący usprawiedliwić Milosza z nadużyć, których nawet wytłumaczyć nie można. Kończąc tę uwagę, dodam, że w Serbii dwie są główne partyje: Obrenowiciów i Karadziordziewiciów, a dopiero ostatnimi czasy wytworzyła się i wyrabia się powoli nowa partyja—Omladina—grupująca się nie pod godłem téj lub owéj rodziny, czy osoby, ale pod sztandarem pewnéj idei, w imię programatu, który jéj dyktują dobrze lub źle zrozumiane interesy kraju.

Sądzę, że nie będzie zbytecznėm ani też bez pewnego dla czytelników moich interesu, krótkie zastanowienie się nad pytaniem, co spowodowało wytworzenie się dwóch tych dyametralnie przeciwnych sobie partyj, kiedy wiadomo że Milosz miał zawsze tyle zaufania i miłości wśród narodu? Jakie są istotne przyczyny tych chronicznych rewolucyj, które co lat kilka powtarzają się w Serbii, i z których ostatnia splamiła się zbrodnią — zamordowawiem ulubionego przez naród księcia?

Powszechna w Serbii ustaliła się opinija, że główna przyczyna wszystkich zamieszek i przewrotów spoczywa w ambicyi możnowładztwa, a są jeszcze zdania, które winę rewolucyi zwalają w ogóle na biórokracyą miejscową, usiłującą jakoby mącić wodę, by w niéj łatwiéj było ryby łowić. Mojém zdaniem, jak jedna tak i druga opinija polega na pozorach i obie zdradzają powierzchowność sądu. Że udział możnowładztwa grał wielką rolę we wszystkich zakłóceniach kraju, że biórokracya w ogóle w nich była najczynniejszą—zaprzeczyć tego nie można; działo się to przecież z konieczności, ile, że jedna tylko biórokracya stanowi inteligencję kraju, a więc część ludności, najruchliwszą. Z tém wszystkiém na karb możnowładztwa, którego w Serbii nie masz, na karb biórokracyi, która w Serbii nie miała jeszcze czasu sformować się w kastę, zwalać winy wszystkich rewolucyj nie godzi się. Biórokracya tutejsza, mimo wszystkich właściwych téj klasie wad, nie zerwała jeszcze łączących ją z narodem węzłów i nie wyosobnia się całkiem w towarzyskich stosunkach od *torgowców* i *sełaków* (wieśniaków.) Z tymi ostatnimi łączy się ona w poczuciu potrzeb i interesów kraju, w jeden społeczno-narodowy organizm.

Daleko zgodniéj będzie z prawdą i rzeczywistością szukać przyczyny niepokojów, zakłócających Serbiją, w postępowaniu rządu miejscowego i w charakterze narodowym Serbów.

W narodzie Serbskim rozwinięty jest w wysokim stopniu *indywidualizm*. Indywidualizm ten, stanowiący charakterystyczną cechę słowiańskiego plemienia, nie jest indywidualizmem egoistycznym rasy anglo-saksońskiéj, negującym wszelką solidarność moralną członków społeczeństwa, z zachowaniem jednéj ekonomicznéj, ma wszakże to wspólnego z tym ostatnim, że ochrania jednostkę od zatracenia się w ogóle, że nie dozwala mu abdykować ludzką godność na rzecz państwa, że nie pozwala podporządkować człowieka pod ustawy pewne, czyniące zeń narzędzie dla ubocznych celów, ale przeciwnie wszędzie i w każdéj chwili stawi człowieka, jako główny i jedyny cel wszystkich ustaw państwowych, wszystkich przepisów prawa.

Mocą tego indywidualizmu, narody słowiańskie z uległością poddają się panowaniu prawa, ale ani na jednę chwilę ścierpieć nie mogą panowania nad sobą jakiéjś osobistości.

Otoż zgodzić się potrzeba, że dotąd w Serbii nie prawo panowało, a panowali ludzie, bez względu na to, czy nimi byli książęta z wyboru narodu, czy ministrowie z wyboru książąt. Potwierdzeniem tego zdania jest cała historya pięćdziesięcioletniéj egzystencyi ks. Serbskiego i przebieg wszystkich niepokojów, jakie w tym czasie wydarzyły się.

Arbitralność i gwałtowność Milosza, który stanowiąc prawa, sam pierwszy je gwałcił, który często bardzo pozwalał sobie postępować na wzór baszów tureckich,—były głównemi lubo nie jedynemi przyczynami wszystkich zamieszek i rewolucyj za jego czasów; nie jedynemi, dodać bowiem potrzeba do nich jeszcze — i intrygi Turcyi.

Karadziordziewicia wypędziła z Serbii jego niewolnicza uległość Turcyi.

Ks. Michała III zamordowała polityka centralizacyi i szpiegostwa, zaprowadzona przez jego ministra *Christicia*. Co się tyczy wpływów postronnych na ostateczną katastrofę, o tém trudno dziś powiedzieć coś pewnego.

Niezadowolenie, jakie z dzisiejszego rządu objawia się w Serbii, jeżeli z jednéj strony tłumaczy się tém, że partya znałogowiona do opozycyi, nie łatwo daje się rozbroić, to z drugiéj strony przyczynia się do jego powiększenia jeszcze i ta okoliczność, że rząd dzisiejszy, chwiejny w polityce wewnętrznéj, nie ma odwagi zerwać całkiem z zabójczym systemem polityki Christicia, tolerując jéj praktyki... zamiast ją zastąpić zapowiedzianym systemem emancypacyi.

Lecz zadługośmy się zatrzymali nad tą milczącą mogiłą, przechowującą w sobie tajemnicę śmierci jednego człowieka, jednego tylko i to aresztanta... wartoż nią myśl swą zaprzątać?!... a więc jedźmy daléj, gdyż moi czytelnicy, a szczególniéj czytelniczki gotowe są nadobre zniecierpliwić się i w niezadowoleniu swém nazwać

mnie starym nudziarzem. Wprawdzie dłuższy wstęp, rozbierający przyczyny zaburzeń, jakich Serbija nie przestaje być teatrem, jest przedmiotem daleko większéj wagi, bo już nie losu jednego człowieka, ale całego narodu dotyczy. Sądzę więc, że tę małą dygresję nie tylko czytelnicy, ale i czytelniczki zechcą mi łaskawie wybaczyć, ile, że od chwili jak emancypacya kobiet zaczęła wchodzić w modę, płeć, nie przestająca i w tym razie być piękną, jakkolwiek może stanie się mniéj nadobną, powinna z tymże samym zapałem zajmować się polityką, z jakim dotąd zajmowała się— strojami, a w nagłych i nieprzewidzianych wypadkach—obmową. A!... przepraszam, co mi się z ust wypsnęło?... Lecz stało się, słowo wypisane, przekreślać go nie będę... Jedźmy...

Droga aż do samego Majdan-Peku nie przedstawia nic ciekawego, ani cośkolwiek nowego. Góry i lasy, lasy i góry, a dla rozmaitości gdzieniegdzie grząskie błoto — o to wszystko, co można o niéj powiedzieć. Tak tedy jadąc i poziewając, poziewając i jadąc drogą, która wprawdzie do snu usposobiała, ale zasnąć nie dawała, dowlekliśmy się nareszcie do miejsca, w którém góra stromym spadkiem stacza się w dolinę dość głęboką i z którego to miejsca wzrok odrazu pada na białe domki wychylającego się z poza węgła góry Majdan-Peku.

— *To je Majdan-Pek!?* — zawołałem z radosnym wykrzykiem.

— *Jest gospodynie.*

— Zawież-że mnie do najlepszéj, jaka się znajduje tu, *mchany*.

— *Chociu gospodynie.*

Spuściwszy się z góry, nie bez trudności i nie bez dotkliwych upominków dla mnie ze strony beczki, nad którą poprzysiągłem zemścić się w sposób właściwy, pijąc zawarte w niéj wino przy zdarzonéj okoliczności, ile się da, co zresztą nie było trudném do spełnienia, albowiem beczka z winem była własnością mieszkającego w Majdan-Peku rodaka, do którego właśnie wybrałem się w gościnę. Spuściwszy się tedy z góry, wjechaliśmy w pryncypalną, tém pryncypalniejszą, że jedyną ulicę miasteczka Majdan-Peku.

Gdyśmy wjeżdżali w mury.... przepraszam, zapomniałem, że w Majdan-Peku wszystkie domy są drewniane, a więc po prostu... gdyśmy wjeżdżali do Majdan-Peku, było już około godziny czwartéj po południu. Niebo było czyste i jasne, słońce łagodnie świeciło, wietrzyk powiewał, liście drzew szumiały, strumyki biegąc po kamieniach szemrały, ptaszęta śpiewały, a ja... ja niecierpliwie szukałem okiem pożądanéj *mchany*, pragnąc co najprędzéj do niéj dostać się, by zaspokoić głód siarczysty, co mi od godzin kilku nielitościwie dokuczał.



Kandyota. (Str. 137).

Prrr! zatrzymując konie, zawołał mój furman, a przynajmniéj byłby tak zawołał, gdyby był Rusinem, a nie Rumunem. Będąc zaś Rumunem, zawołał inaczéj, tylko, że na moje nieszczęście zapomniałem.

— *Ewo wam mchana, gospodynie!*—dodał.

Nimem się wypakował z wózka, zjawił się tymczasem gospodarz zajazdu.

— Czy masz osobny pokój dla mnie jednego?

Podrapawszy się filozoficznie w głowę i zrobiwszy minę, jakby sam nie wiedział co mi ma odpowiedzieć, rzecze mi: *molim, gospodynie, ujdote unutra!* Następnie przeprowadził mnie przez dużą gościnną izbę i otwierając drzwi od bocznego pokoju: *evo, gospodynie, jedina soba* (pokój) rzekł.

Mina pokoju wcale była niezła. Czysty był i zamieciony. Stojące naprzeciwko siebie dwa łóżka miały pościel białą, nęcącą całym wdziękiem wypoczynku, by się na niéj po nużącéj podróży wyciągnąć. Uradowany tą ważną w podróży okolicznością, że jest przecie gdzie głowę przychylić bez wstrętu — wzywam gospodarza, by mi co najrychléj przyniósł coś do zjedzenia, *jer gladan sam, kao pseto* (albowiem głodny jestem jak pies).

Zaledwie że wyszedł gospodarz, otwierają się drzwi i zjawia się w nich młoda i nieszpetna niewiasta, z zalotnym uśmiechem na ustach a z dzbankiem z wodą i miednicą w rękach.

— Guten Abend, mein Herr.

— Guten Abend, meine schöne Mädchen.

— O, ich bin keine Mädchen, ich bin eine Frau.

— Gut, aber sprechen Sie serbisch? weil ich deutsch nicht spreche.

— *A, wy ne goworite nemaczki, gospodinie; ja sam szwabica iz Preka, ali govorim srbski.*

W dalszym ciągu rozmowy swéj oświadczyła mi zalotna Niemka, że ona jest żoną gospodarza zajazdu, że gospodarz sam jest Bułgar, bardzo dobry i poczciwy i do tego *nelubomoran* (niezazdrośny), dodała ze spójrzeniem, nad którego znaczeniem nie potrzebowałem łamać sobie głowy.

Każdy przyzna, że była to pokusa nie lada, jeżeli nie większa, to w każdym razie i nie mniejsza od téj, jakiéj ongi doświadczał na puszczy Ś-ty Antoni pustelnik. Jakoż nie wiem, czy przy całéj powadze moich lat potrafiłbym się jéj oprzeć, gdyby na moje szczęście nie wszedł był szanowny mąż, z rezygnacyą, jak widać było, prawdziwie bułgarską dźwigający na łbie olbrzymie rogi.

Evo vam, gospodynie, pile i jaje. Ciete li vina?

Zapach pieczonéj kury ostateczną sprowadził równowagę w moich namiętnościach, cały zapał mój i uwagę skierowując do przedmiotu zostającego w bezpośrednim stosunku do kwestyi życia. Widząc, że w téj chwili wszelkie współzawodnictwo z kurą, która mi się djable smaczną wydawała, było niepodobném, wyniosła się moja Niemka z pokoju cichaczem, licząc zapewne, że i na nią czas przyjdzie. Niestety, zawiodła się nieboga!

Posiliwszy się, o ile tylko można było się posilić, mając całą kurę na wygłodzony całodziennym postem żołądek i w dodatku jaja na miękko, odbywszy konieczną po podróży operacyą za pomocą wody, mydła, użytych w wielkiéj obfitości, słowem, zrestaurowawszy organizm i odświeżywszy postać, każę siebie prowadzić do mieszkającego w Majdan-Peku rodaka p. S...

Pan S... bawi na Wschodzie od r. 1848. Całą Bułgaryą przeszedł piechotą, można powiedzieć, wszerz i wzdłuż—to też zna ją lepiéj, niż wielu własną swą kieszeń. Opowiadania jego o tych wędrówkach nadzwyczaj są zajmujące.

Jest to wielka szkoda, że żaden jeszcze z rodaków bawiących na Wschodzie, a znających Turcyą, jak nikt drugi, nie zabrał się do pracy spisania swych pamiętników. Niejednąby sporną kwestję wyjaśnić one mogły, nie jedną wątpliwość rozstrzygnąć. Turcya, mimo wszystko co o niéj dotąd napisano—jest jeszcze *terra incognita*, a to dla téj prostéj przyczyny, że opisywali ją dotąd ludzie, którzy ją poznali w przejeździe, albo z krótkiego w niéj pobytu. Słyszałem, że Karol Brzozowski wypracował mapę etnograficzną całéj Turcyi;—ma ona prostować wiele błędów i niedokładności wszystkich dotychczasowych map, jakie układano na podstawie relacyi podróżników.

Wracając do p. S... ten przed dziesięciu laty osiadł w Serbii, ożenił się z Serbką, wdową po polaku, i obecnie ma obowiązek

w administracyi kompanii angielskiéj, zajmującéj się eksploatacyą kopalni miedzi i żelaza w Majdan-Peku.

Pana S... w domu nie zastałem, był w biórze. Udaję się do bióra. Zaledwie dojrzał mnie na progu: — A, Szanownego, witam! a to mi gość niespodziany! — zawołał pan S... podbiegając i witając mię z serdecznością. Znał mnie, poznaliśmy się w czasie jego kilkodniowego pobytu w Belgradzie.

Złożywszy swe księgi rachunkowe i uprosiwszy obecnego tamże Anglika, z długiemi bakenbardami, który mimo to wcale po ludzku wyglądał, by przysłał po niego w razie naglejszéj potrzeby,— zaprowadził mię do swego mieszkania, gdzie mnie przedstawił swéj żonie i młodéj pasierbicy, mężatce od roku, p. doktorowéj, będącéj w gościnie u rodziców.

Pani S... i córka jéj, pani doktorowa, którą ojczym prześladując nazywał panią felczerową—nie mówią wprawdzie po polsku, ale rozumieją. Nie zaniedbałem korzystać z téj okoliczności.

Pani S... jest wielką lingwistką, zna ona nie mniéj, ani więcéj jak: język francuski, niemiecki, włoski, grecki, turecki, rumuński, dodajmy do tego ojczysty serbski, a będziemy mieli siedm języków. Jak na jednę osobę i to na kobietę—to dosyć.

Po odbytéj ceremonii prezentacyi, pani S... któréj gościnność przypominała mi nasze progi, powiada:

— Ale pan musisz być głodny, pozwolisz pan że mu naprędce przyrządzimy kawę, a postaram się żeby kolacya była dziś wcześniéj jak zwykle.

Podziękowałem jéj za troskliwość, zapewniwszy, że mniéj więcéj przekąsiłem w zajeździe.

— W każdym razie kawa nie zaszkodzi.

— A nim kawa się przyrządzi, — powiada mi p. S... my tymczasem pójdziemy do zajazdu i przeniesiemy pańskie rzeczy, w zajeździe bowiem pan zostawać nie możesz.

Napróżno wymawiałem się i wypraszałem, bojąc się uczynić im subjekcję, musiałem być posłusznym rozkazom gospodarza i przedstawieniom gospodyni, że mieszkanie mają dość obszerne i że w sali mogę najswobodniéj rozkwaterować się. Jakoż źle na swém posłuszeństwie nie wyszedłem. We własnym domu nie byłoby mi lepiéj i wygodniéj.

Z przenosin moich, jeżeli kto był niezadowolony, to gospodarz mehany, tracący ze mną z góry obrachowane zyski, i szanowna jego żoneczka, na pożegnanie obdarzająca mię spojrzeniem, jakim się spoziera na... gamonia i niezdarę, co nie umie z nadarzającéj się gratki korzystać.

Po kawie i wypoczynku, nad samym wieczorem, proponuje mi pan S... przechadzkę po Majdan-Peku. Zgodziłem się na to chętnie. Położenie bowiem Majdan-Peku jest tak malownicze, że z niecierpliwością oczekiwałem chwili, w któréj bym mógł po nim się rozpatrzyć.

Majdan-Pek leży w małéj kotlinie, mającéj 1,000 może więcéj stóp szerokości i do 3,000 długości. Ze wszystkich stron otoczona jest ta kotlina wieńcem gór wysokich i stromych, które tylko od zachodu rozstępują się, dając miejsce szerszemu nieco i głębokiemu wąwozowi, którym biegnie wązką strugą *Mały-Pek*, szemrząc w gniewie na napotykane przeszkody, powstrzymujące go w pośpiechu, z jakim podąża w objęcia czekającego nań o godzinę drogi, *Wielkiego-Peku*. Wąwóz ten w dalszym ciągu rozszerza się, stanowiąc dolinę Peku, miejscami tak malowniczą, że oczarowany tylu wdziękami naraz człowiek, chciałby pozostać w niemém kontemplacyi nie wiem jak długo i tylko ze smutkiem zostawia za sobą te miejsca zaczarowane, które jak najmilszy sen przypomina później nieraz.

Między górami, wznoszącemi się nad Majdan-Pekiem, dwie wyszczególniają się wysokością i malowniczością, a mianowicie: góra *Starica*, u stóp któréj wije się bystry potok, *Mały-Pek*, sięgająca do 2,500 stóp wysokości, pokryta lasem różnych drzew, między któremi smukłe odznaczają się brzozy, świecąca, niby staruszka łysiną, nagim czubałkiem granitowych pokładów. Naprzeciwko niéj, po drugiéj stronie kotliny, nieco wyższa wznosi się góra *Szaszka*. Na jéj pochyłości, prawie prostopadle spadającéj, wije się w zygzak droga, którą właśnie w téj chwili przeciągają podwody, wznoszące się jedne nad drugiemi, niby na piętrach gmachu olbrzymiego.

Położenie Majdan-Peku, odosobnionego trudnemi do przebycia i daleko rozgałęzionemi górami od świata, z którym go łączy zaledwie jeden potok—bezpośrednio— ma w sobie coś uroczystego, coś uroczego nawet; z tém wszystkiém, niepodobieństwem byłoby dla mnie przez dłuższy czas w nim zostawać, może dla tego, że wychowaniec równin Wołynia i Ukraińskich stepów potrzebuje przestrzeni, gdzieby wzrok swobodnie mógł napawać się błękitem szerokiego nieba, mógł pobujać na rozległym i ginącym w dal obszarze, nie uderzając się o granicę cieśni, jak ptak próbujący lotu, o ściany klatki, w któréj go zamknięto. W nim nie masz swobody ani dla wzroku, ani dla piersi, ani dla myśli! Do serca tajemnicza zakrada się tęsknota, myśl staje się ociężałą, piersiom zdaje się że powietrza brak, ile, że słońce elektryzujące swém ciepłem i blaskiem życie, niedługo bawi na horyzoncie Majdan-Peku, ledwie pozwalając nacieszyć się sobą.

Majdan-Pek ze wszystkiemi należącemi doń przyległościami, stanowi autonomiczną pod względem administracyjnym gminę. Jest w nim cerkiew, szkoła, dwa zajazdy, dziesięć sklepów i sto dziewięćdziesiąt domów. Zamieszkany jest przeważnie przez Rumunów, między którymi jest także kilka cyganów osiadłych, mających swe gospodarstwa.

Majdan-Pek sławnym jest z niewyczerpanych kopalni miedzi i żelaza. Są ślady, że wydobywaniem miedzi i żelaza trudnili się tu Rzymianie. Pamiątki z czasów Duszana wspominają także o tutejszych kopalniach. Z upadkiem carstwa serbskiego nastąpił upadek i kopalni Majdan-Peku. Za czasów krótkiego panowania w Serbii Austryi, rozpoczęto w nich nanowo pracę. Po ustaleniu niepodległości Serbii, rząd wziął się na własne ryzyko eksploatować kopalnie Majdan-Peku; przekonawszy się atoli, że zamiast zysku coraz większe ponosi straty, wydzierżawił je kompanii francuzkiéj, po któréj zbankrutowaniu, zostały dane w dzierżawę angielskiéj kompanii.

Kopalnie Majdan-Peku mają dziewięć szybów, z których najdłuższy ciągnie się na dwieście kilkadziesiąt łokci. Jest jeden piec do wypalania żelaza, a dwa do wytapiania miedzi.

Olbrzymie warstwy strupieszałego żuzla i ślady drogi, którędy wożono rudę, świadczą o miejscu gdzie w starożytnych czasach wytapiano metale.

W Majdan-Peku spędziłem pięć dni czasu, jak jeden dzień. Przechadzki, zwiedzanie wszystkich piękności okolicy, przejażdżki konne, które zawdzięczałem grzeczności i uprzejmości anglika, kolegi p. S..., wypełniały cały czas mego pobytu w Majdan-Peku. Wprawdzie nie byłem w szybach kopalni, ani w ciekawszéj dla mnie grocie staloktytowéj, ciągnącéj się od Majdan-Peku aż do Rajkowéj, na przestrzeni godziny drogi; lecz niepodobieństwem było zadość uczynić swéj ciekawości, raz dla tego, że do ich zwiedzenia potrzeba było właściwego ubioru, którego nie miałem, a powtóre, co ważniejsza, przewodników. A właśnie dwaj jedyni przewodnicy, z którymi bezpiecznie można było udawać się do groty, będącéj w swoim rodzaju labiryntem — nie byli obecni w Majdan-Peku. Opowiadano mi, że szczególniejszy sprawiają w grocie efekt pochodnie zapalone. Światło ich, odbijając się od tysiąca punktów szklistych, staloktytowych kolumn i filarów i t. d. olśniewa oko swoją wspaniałością i zdumiewa umysł, który o niczém podobném i marzyć nie mógł. Spodem téj groty przepływa rzeka, Mały-Pek— która też ją niezawodnie i wyżłobiła.

Ludność Majdan-Peku jest wyłącznie rumuńska. Miałem tu sposobność widzieć małą próbkę postępowania mężczyzn z kobietami. Było to wieczorem. Wybraliśmy się z panem S... na przechadzkę. Wracając do domu spotykamy idących z lasu, kobietę, która na plecach dźwigała ogromną wiązkę drew narąbanych, a na ręku dziecię u piersi, i mężczyznę, który szedł za nią wolnym krokiem paląc fajkę i zaledwie jednę siekierę dźwigając na ramieniu. Wszelka w ogóle praca, odnosząca się do domowych potrzeb, jest wyłącznie udziałem kobiet w Serbii. Reguła ta zachowuje się z całą surowością szczególniéj w Czarnéj-górze. Czarnogórzec uważa za rzecz ubliżającą dla siebie wszelkie tego rodzaju zajęcia. *To je posol żeński*—powiada.

KONIEC.

OPOWIADANIE STASIA.

POWIASTKA,

przez

T. T. Jeża.

—◇◆◇—

(*Dalszy ciąg*).

— O tak, mamo dobrodziejko... Ja jak śpię, to śpię. Cóż to był za gwar dziś rano?...—zapytał, zasiadając do kawy, która w im-

bryku, w towarzystwie garnuszków ze śmietanką, bułeczek, sucharków i masła, na niego czekała.

— Ot, zwykle w gospodarstwie, do którego młody dziedzic (tu ukazała ręką na mnie) przybywa... Oficyaliści, gromada, słudzy, arendarz składali Stasiowi pozdrowienia... Było dużo gadaniny, bo to gospodarz nowy a przytém młody...

— I nic o gospodarstwie nie wiedzący, proszę dodać...—wsunąłem.

— Tego nie dodam.... — odparła matka.—Bo to, proszę pana kapitana, biorę pana na sędziego... Staś powiada, że nie umie gospodarować... A ja mu mówię, że się nauczy...

— I, głupstwo!...—podchwycił Jaksa, maczając sucharek w kawie.—Gospodarować?... Jeżeli nie umiesz, to ja cię nauczę...

— Jaki pan kapitan łaskaw...—wsunęła matka półgłosem.

— Hm...—ciągnął daléj, połykając sucharek. — Ja znam się doskonale na gospodarstwie... Przecież gospodarowałem... Przedewszystkiem, wszystko dojrzeć i porządek utrzymać...

— A co?... nie mówiłam?...—podchwyciła matka.

— Ale porządek żołnierski — mówił daléj, popijając kawę.— Na komendę: w prawo! w lewo! i, marsz do roboty!... Ja miałem taki porządek u siebie i szło też jak z płatka... Ale potrzeba koniecznie zaprowadzić bęben i trąbkę... Bez tego porządek jest niepodobnym... Radzę ci przeto, zaprowadź najprzód bęben i trąbkę..

Matka zdziwionemi na Jaksę wpatrzyła się oczami.

— U nas tego nikt nie używa... —rzekła nieśmiało.

— U nas?... bo to mamo dobrodziejko u nas!... Ale proszę no pójść niedaleko, do Paryża naprzykład, i przypatrzeć się jak tam chłopów dla króla francuzkiego na pańszczyznę wypędzają... Do świta bębnią i trąbią, że spać nie sposób i w pół godziny potém stoją chłopy w szeregu przed pałacem z widłami, cepami, kosami, grabiami, podzieleni na plutony i półplutony... Ekonom komenderuje, a czasami i sam król, ale najczęściéj stary sobie śpi... lubi długo sypiać... Pluton z cepami w lewo!... marsz!... i poszli do roboty. Dwa plutony z cepami do prawego, w prawo!... marsz!... i poszli do roboty... I tak daléj... Otóż tam i robią, nie tak jak u nas, niby za napaść mamo dobrodziejko...

— To prawda...—wsunęła z westchnieniem matka.

— Ja mam doświadczenie na sobie... Zaprowadziłem był u siebie taki porządek i zaraz robota poszła inaczéj... słusznie powiadają... „kto nie słucha ojca, matki, ten posłucha psiéj skóry“...

Matka moja westchnęła, nastąpiło chwilowe milczenie, w ciągu którego Jaksa wydobył z kieszonki od kamizelki piórko z kutasikiem w paciorki oprawne i począł dłubać w zębach, odsuwając się z krzesłem od stolika. Milczenie przerwała matka.

— Cóżby na to ludzie powiedzieli, gdyby Staś zaprowadził bęben?...

— Co tam ludzie!... — odpowiedział Jaksa. — Póki ja (tu się uderzył dłonią po piersiach) przy Stasiu, to zje djabła, kto jemu co złego zrobi... Niech tam sobie gadają!... Jak się przekonają że to dobrze, to i sami zaczną małpować... Bo ludzie, mamo dobrodziejko, to małpy... Z początku krzyczą, jak wrony, a potém, dalejże jeden za drugim, jak cielęta... Niech tylko Staś na ludzi nie zważa, a mnie słucha, to dobrze wyjdzie!...

— Ach! panie kapitanie!...—przerwała matka. - Gdybyż to pan dobrodziéj mógł z nim być jak najdłużéj!...

— Czemużbym być nie mógł—odparł Jaksa.

— Jakiż pan łaskaw!... On, taki młody! nie mógłby we wszystkiem sobie poradzić... A na ekonoma spuszczać się nie można: bo to, ekonom, choć najpoczciwszy, zawsze najprzód myśli o sobie, a potém dopiero o pańskiém dobru...

— Ho ho! wezmę ja pana ekonoma krótko w cugle... Będzie on tańczył, jak ja mu zagram...

Jako niemy świadek, przysłuchiwałem się téj rozmowie, a nie brałem w niéj udziału dla tego, że w kwestyi gospodarskiéj czułem się niekompetentnym. Po kawie, matka moja zwróciła się do Jaksy, który ją wciąż „mamo dobrodziejko“ tytułował—co, mówiąc nawiasem, za serce ją ujęło — zwróciła się do niego, jako do mego przyjaciela.

— Bardzo przepraszam pana kapitana, że się ośmielam nudzić go mojém natręctwem.., Mam do pana prośbę...

— Cóż takiego, mamo dobrodziejko?...

— Mam ze Stasiem do pomówienia o interesach...

— Więc ja niepotrzebny!...—podchwycił, zrywając się.

— Przeciwnie... Chcę pana kapitana dobrodzieja, jako przyjaciela mego syna, prosić, ażebyś był świadkiem naszéj rozmowy... Proszę chwilkę poczekać.

Wyszła.

Kiedy była za drzwiami, Jaksa się odezwał.

— Otożem babę osiodłał!... — Dałaby sobie za mnie nos urżnąć....

— Mój Jakso!..—rzekłem. — Proszę ciebie, nie ubliżaj mojéj matce i szanuj jéj nieszczęście...

— Jakież ty dziecko!...—odparł.—Cóż ja ubliżającego o twojéj matce powiedziałem?... Żem ją osiodłał?... no!... czyż sam tego nie widzisz?... Że baba?... A toć przecie każda nie młoda kobieta nazywa się po polsku baba... Ja twoję matkę bardzo kocham i bardzo szanuję... Szanowniejszéj kobiety nie ma pod słońcem... Co to za dobra matka!... I moja była taka sama...

I Jaksie coś, niby rzewność w oczach mignęła. Ta rzewność w serce mnie trąciła. Przebaczyłem mu. Matka weszła z papierami i kluczami w ręku. Usiadła obok mnie, a papiery i klucze położyła przed sobą.

— Chcę przy panu, panie kapitanie, wręczyć Stasiowi wszystko co do niego należy... Oto testament nieboszczyka i kodycylle...

Podała mi kilka arkuszy na wszystkie strony zapisanych.

— Czytaj głośno...

Wziąłem się do czytania; wygłosiłem kilka początkowych okresów, lecz nie byłem w stanie ciągnąć daléj. Stanął mi przed oczami ojciec i do oczów łzy nabiegły a wyrazy w gardle grzęzły. Matka poczęła oczy chustką obcierać.

— Oho! jak widzę, odezwał się Jaksa, z czytania nic nie będzie... Dwóch robót razem robić nie można: i czytać i płakać... Czy nie ma tu jakiego pisarczuka albo ekonomczuka?...

Matka posłała po pisarza prowentowego, który, że czuprynę fryzował i nosił spodnie na strzemiączkach, budził nadzieję płynnego czytania. Nim przyszedł, Jacek opowiadał o strączkowéj pszenicy, rodzącéj się na téj saméj wyspie co pieprz i kawa.

— Ja mam tam przyjaciela... Napiszę do niego kilka słów, to on nam przyśle parę korcy téj przenicy... Doskonała do omłotu... Z kopy dziesięć korcy, bo strączki ot takie (tu miarę pokazał na ręku, od palca ukaziciela po łokieć), a w strączkach pszenicy jak w torbie... Nie potrzeba worków... Po prostu, strączki się zrywają, na wóz pakują i marsz do miasta...

Wtém wszedł pisarz. Przekroczywszy próg, stanął przy drzwiach w oczekiwaniu na rozkazy. Jaksa, dokończywszy opowiadania, nałożył fajkę, zakurzył i usiadł w fotelu, założywszy nogę na nogę. Matka dała pisarzowi papiery do czytania.

— Stań aspan przy oknie, będziesz lepiéj widział... — rzekł Jaksa. — A tylko czytaj jak pacierz i nie bąkaj... bo jeżeli będziesz bąkał, to ci tę czuprynę oberwę...

Pisarz się zmięszał. Stanął przy oknie, rozwinął papier i odchrząknął kilka razy.

— Jeżeli ci w poprzek w gardle kość stanęła, to zawołaj psa, niech ci ją wyjmie... wsunął Jaksa.

Pisarz jeszcze raz odchrząknął i począł czytać.

Pismo mego ojca było wyraźne, więc czytanie poszło gładko, ale zanadto gładko, bo bez przestanków. Improwizowany lektor najmniejszéj uwagi nie zwracał na punkta i komy. Jednym tchem i jednym tonem wygłaszał okresy po okresach, a spieszył się, jakby mu co na najprędszém przeczytaniu zależało. W piersiach mu tchu brakło, więc od czasu do czasu głęboko wzdychał, aż mu w gardle charczało. Pot, niby rosa wystąpił mu na czoło.

— Powoli!... powoli!...—zawołała Jaksa—Rozpędziłeś się jak wóz z góry...

Pisarz odetchnął i począł czytać w taki sposób, że się zatrzymywał na wyrazach.

— Teraz jedzie, jak po grudzie...— zauważył Jaksa—Ej, czupryna będzie w robocie... Obstrzygę szelmę jak owcę...

Pisarz ręką pot z czoła otarł.

— Czytaj daléj...

Z tego czytania nie można było dokładnie poznać właściwéj treści ojcowskich rozporządzeń. Główna jednakże myśl dała się uchwycić. Była ona taką, jak mi ją matka przedstawiła i tylko nowém było dla mnie wyszczególnienie kapitałów: tyle tysięcy złotych tu, tyle tam a tyle ówdzie; kolejne wymienianie cyfr nie robiło na mnie żadnego wrażenia. Obojętnie słuchałem, jak pisarz wygłaszał: sto siedmdziesiąt i trzy tysiace, z procentem rocznym, po ośm od sta, za rewersem oblatowanym w sądzie ziemskim etc., albo: dwieście dwadzieścia tysięcy złotych, z procentem rocznym etc. Jaksa jednakże, za każdą cyfrą, podnosił rękę, wyciągnął palec, a ukazując nim przed siebie, wywoływał:

— O!...

Cyfry szły w tym porządku, że najprzód napisane były summy mniejsze, a po nich stopniowo coraz to większe. Stosownie do tego i Jaksa stopniował swoje wykrzykniki.

— Dobrze!...—powiedział przy pierwszéj cyfrze.

— Wybornie!...—powiedział przy drugiéj.

— Doskonale!...—przy trzeciéj.

— E he he!...—przy czwartéj.

— Kiepskoś czytał...—rzekł do pisarza, gdy ten skończył—ale ci czuprynę zostawię, boś dobre naczytał rzeczy... Idź do djabła!...

— A kodycylle?...—odezwała się matka.

Co tam!... odparł, ręką z pogardą machnąwszy — kodycyllami (tu się zająknął) można... w piecu zapalić... Testament grunt... Nieboszczyk był, jak widać, człowiek rozumny... No, świećże Panie nad jego duszą... Trzeba tu się tylko dobrze do gospodarowania zabrać...

— O, trzeba...—z westchnieniem powtórzyła matka.

— Jest o co ręce zaczepić...

— Ale ja bym pragnęła... życzyłabym sobie... a było to i życzenie nieboszczyka, w jednym z kodycycyllów wyrażone... żeby się Staś ożenił...

— Ożenimy go!... Żeby tak o co, jak o to... Ja mu sam żonkę wyswatam...

— Jakiż pan kapitan łaskaw...

Tu zabrałem głos, bo w tym względzie czułem się już kompetentnym:

— Ale trzeba się mnie zapytać, czy chcę się żenić... Otóż oświadczam, że ani myślę...

Była to odpowiedź pod adresem Jaksy. Ukłuło mnie to jego „ożenimy go,“ wymówione z taką pewnością, jakby Jaksa posiadał prawo rozkazywać mi. Odpowiedź ta zasmuciła moję poczciwą matkę. Poczęła mi łagodzić swoje życzenie.

— Nie teraz... nie zaraz... Cały rok żałoby, to o ożenieniu myśleć się nie godzi... Ale po roku... poczekawszy... jak się rozpatrzysz... rozpoznasz.

Miałem na języku „nigdy,“ lecz nie chciałem matki martwić.

— Nie teraz... nie zaraz...—podchwycił Jaksa—A toż byłbym durniem, żebym go zaraz chciał żenić!... Pieniądze są, to można poczekać... Tymczasem trzeba się rozgospodarować, rozpatrzéć, rozpoznać...

Matka uśmiechem podziękowała Jaksie za potwierdzenie jéj zdania.



Belladonna. (Str. 139).

* * *

Co mnie uderzyło, to to, że Jaksa nie nalegał na jechanie do Paryża. Bo też, prawdę powiedziawszy, nie miał dobrych do nalegania powodów. W Kopystyńcach pływał jak pączek w maśle. Sam powiadał, że:

— Wyżerka nie zła, powietrze zdrowe i człowiek kontent z siebie...

Był też „kontent z siebie“ w całém tych wyrazów znaczeniu i dla tego snadź nie spieszyło się mu z Kopystyniec.

Ale czy z niego byli kontenci?— Matka moja bardzo. Umiał ją w taki zażywać sposób, że widziała w nim wcielenie ludzkiéj doskonałości. „Pan kapitan“ był dla niéj wyrocznią. A jeżeli kiedy jakie głupstwo powiedział lub zrobił, co mu się nader często trafiało, umiała go zawsze usprawiedliwić. Dla mnie był on tém samém, co we Lwowie: wygodnym towarzyszem. Kto jednakże głęboko go nienawidził, to oficyaliści, słudzy i chłopi. Dla tych stał się prawdziwym bożym biczem.

Do gospodarstwa mięszał się, ale nie do saméj istoty. O uprawie roli, posiewach, zbiorach etc. najmniejszego nie miał wyobrażenia i dla tego gospodarka szła sobie zwykłym trybem, pomimo że się odgrażał sprowadzaniem strączkowéj pszenicy, sianiem migdałów, zamiast grochu i tym podobnemi rzeczami, o których zwykle zapominał. Zawsze jednakże miał siebie za mego doradcę i mentora i miał zwyczaj oficyalistom, sługom i włościanom mówić, i to w obec mnie:

— Ja tu pan!...

Kiedy mu ekonom ośmielił się jaką zrobić uwagę, z gniewem odpowiadał:

— Milcz jak pień, słuchaj jak pies trąby!...

O zaprowadzeniu bębna, którym był w pierwszym dniu pobytu w Kopystyńcach tak moję matkę zafrasował, także na jakiś czas zapomniał.—Lecz przypomniał sobie. Działo się to w czasie żniw.

Ten bęben, kiedy Jaksa pierwszy raz o nim opowiadał, wyniósł się w kształcie wieści podsłuchanéj przez usługującego do kawy lokaja do kredensu, do izby czeladnéj i rozszedł się po wsi. Gromada się zaniepokoiła, lecz niepokój wkrótce przeminął. Jaksa w gospodarstwo nie wglądał. I tak to sobie szczęśliwie przeszło.

Jak wiadomo, żniwa są u nas czasem najgorętszym — czasem, w którym robocizny nie nastarczyć, a najlepsza wydaje się nienajlepszą i zamało pospieszną. Właściciele wielkich obszarów pragnęliby siły każdego robotnika w dziesięć razy spotęgować. Siły zwyczajne są dla nich zasłabe, dnie lipcowe zakrótkie. Ztąd utyskiwania, narzekania i gniewy.

Utyskiwania te, narzekania i gniewy wpadły w ucho Jaksie, podobno nie wiedzącemu nawet że się żniwa odbywają.

— Co to jest!... nie robią?... nie ma porządku?...—krzyknął.

— A bęben?...—zapytał groźnie ekonoma.

Ekonom ramionami wzruszył.

— Jaki... bęben?... — rzekł zdziwiony.

— Jakto, jaki... cóż to, aspan kpisz, czy o drogę pytasz?... Taki... zwyczajny... psią skórą naciągniony...

— Nic o tém nic wiem, wielmożny panie...— odrzekł ekonom, który słyszał przed ośmiu miesiącami o téj innowacyi, ale udał że ani słyszał.

— Nie wiesz!... krzyknął Jaksa— Alboż ja o tém nie mówił!...

— Mówiłeś mnie... podchwyciłem—ale ja tego nikomu nie powtórzyłem...

— To źle...—odparł—Jeżeli tak będziesz z mojemi obchodził się radami, to cała robota pójdzie na psy...

A zwracając się do ekonoma, rozkazującym dodał tonem:

— Jedź aspan natychmiast do miasta, kup bęben i przywieź go tu...

Ekonom się w głowę poskrobał.

— Czego się w łeb drapiesz?...

— Tego, wielmożny panie, że teraz żniwa.. czas gorący... zamiast jeździć po miastach, lepiéjby było, gdybym dojrzał roboty.

— Raz mówiłem: milcz jak pień! słuchaj jak pies trąby!... Jedź, kiedy ci każę, a żniwa zawiesić, póki bęben nie będzie...

Nie było rady. Żniwa stanęły. Nie prędzéj, jak na trzeci dzień nad wieczorem powrócił ekonom z okropnym bębnem, o którym Jaksa był już zapomniał.

Włościan zdumiło zawieszenie żniw. Dowiedzieli się oni powodu i z ciekawością wyglądali bębna, który miał wpłynąć na przyspieszenie roboty. Korzystając z tego że ich nie wzywano do pracy, obrzynali pospiesznie swoje pola. Ci z poważniejszych gospodarzy, którzy się ze mną spotykali, kładli mi w ucho:

— Czasu szkoda:

(d. c. n.)

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою. 19 Апрѣля (1 Мая) 1871 г. — **Redaktor**, Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.